

AGNIESZKA ŁUKOMSKA



BARCELONA Z IN VITRO

DROGA KU SZCZĘŚCIU, CZYLI JAK ZAMIESZKAŁAM
W MIEŚCIE SWOICH MARZEŃ



FOT. ANNA CZURA

AGNIESZKA ŁUKOMSKA

Finansistka, która straciła głowę dla Barcelony. Posiada certyfikat CIMA na poziomie menedżerskim i certyfikat Prince2 Foundation.

Pracuje jako Accounting Manager na Europę w międzynarodowej firmie konsultingowej dla branży medyczno-farmaceutycznej.

Agnieszka lubi otaczać się przyjaciółmi i kotami, bo obdarzają ją pozytywną energią. Uwielbia tańczyć, chodzić po górach, czytać książki. W życiu najbardziej ceni bycie sobą.

Od 2017 roku mieszka wraz z mężem Mariuszem w Barcelonie, a wszystko zaczęło się od ich wakacyjnego wyjazdu.

INSTAGRAM: AGNIESZKA_W_BARCELONIE

A gdyby tak zamieszkać w Barcelonie?

Przeprowadzka
do miejsca,
o którym marzysz,
wydaje się nierealna,
ale tylko do czasu,
aż przeczytasz
tę książkę.

Gdzie jest szczęście? W Barcelonie.

Barcelona
jest na 2 miejscu
w rankingu
Happiest City Index*.

Ta książka
wskazuje do niej drogę.

* [ivisa.com/blog/the-happiest-cities-to-travel-to](https://www.ivisa.com/blog/the-happiest-cities-to-travel-to)

[Kup książkę](#)



Kup książkę

BARCELONA Z IN VITRO

AGNIESZKA ŁUKOMSKA

Copyright © Agnieszka Łukomska

Prowadzenie: Justyna Niebieszczańska

Redakcja: Alicja Kaszyńska

Korekta: Jolanta Serocka

Skład, okładka i oprawa graficzna: Agnieszka Mlicka-Ezooneir

Wydanie 1, 2023

ISBN E-BOOK 978-83-67459-53-2

EZOONEIR.COM

[Kup książkę](#)

*Nigdy nie rezygnuj z marzenia tylko dlatego,
że zrealizowanie go wymaga czasu. Czas i tak upłynie.*

Earl Nightingale

Dla Mariusza

Wstęp

Bardzo się cieszę, że wyruszasz ze mną w podróż do Barcelony, bo będzie to wyprawa w nieznane – obarczona ryzykiem, ale ekscytująca. Poprzez opisanie mojej drogi do tego pięknego miasta chcę ci pokazać, że warto spełniać marzenia i wierzyć, że wszystko jest możliwe. Nie ważne, skąd pochodzisz, jakie masz wykształcenie, status społeczny czy wiek. Nie ważne, czy masz partnera, czy jesteś singlem.

Jeśli czujesz, że coś cię uwiera i chcesz więcej od życia, warto o to zawalczyć. Jeśli osiągnąłeś już dużo, a mimo to pragniesz odmiany, idź po to. Wyrwij się ze swojej strefy komfortu i biegnij po więcej, po inne: gorsze, lepsze, czasem szare, a czasem oszałamiająco kolorowe. Jeśli jesteś na początku swojej drogi zawodowej i chcesz rozwijać się w środowisku międzynarodowym albo fascynuje cię język hiszpański, też daj sobie szansę na tę zmianę.

Powiem ci od razu, że łatwo nie będzie, bo w oczach niektórych osób będziesz tym szaleńcem, któremu się w głowie przewracało. I niech ci się przewraca do woli. Wszystko, co robisz ze swoim życiem jest twoją decyzją, twoją odpowiedzialnością i twoim ryzykiem. Nawet jeśli stwierdzisz, że obrana droga ci nie odpowiada, że to nie to, nie tak, jak chciałeś i po prostu tęsknisz do swojego starego życia, super. Wróć – bez żalu i wyrzutów sumienia, wracasz bowiem do niego z nowym pakietem doświadczeń, których nikt ci nigdy nie odbierze. Nie chcę cię tu namawiać do buntu, ucieczki i odrzucenia wszystkiego, co zdobyłeś, bo to nie o to chodzi. Jeśli masz kogoś, kogo kochasz

i nie wyobrażasz sobie życia bez niego, a jednocześnie marzysz o przeprowadzce, powinniście razem podjąć świadomą decyzję, która prawdopodobnie wzmocni wasz związek i spowoduje, że będziecie oboje bardziej zaangażowani. Sama zmiana dla zmiany nie zawsze ma sens, jeśli zostawiasz za sobą zbyt wiele i w efekcie nie jesteś szczęśliwy. Bo tu o szczęście chodzi najbardziej.

Z takim założeniem podchodziłam do pomysłu o przeprowadzce do Barcelony od samego początku, od kiedy ten wariacki zamysł zakiełkował w mojej głowie. A zasiał go tam mój partner Mariusz – to on ma takie szalone pomysły. Ja tu tylko sprzątam, czyli jestem od brudnej roboty. Można powiedzieć, że Mariusz jest projektantem, a ja wykonawcą.

Wprawdzie idea mieszkania w kraju z palmami snuła mi się po głowie od dłuższego czasu, ale wiesz, jak to jest. Fajnie sobie pomarzyć, jednak realizacja to już inny poziom abstrakcji, który w mojej głowie nigdy sam z siebie by się nie pojawił. Bo po co wyjeżdżać, skoro robisz karierę i niedawno zostałeś członkiem zarządu w spółce giełdowej? Po co wyjeżdżać, skoro kupiłeś dom, masz długoletniego partnera, dwa koty, przyjaciół i rodzinę w Polsce? Czy ty wiesz, na co się porywasz? Muszę szczerze przyznać, że nie wiedziałam. Miałam tylko mgliste pojęcie, jak to może być, jednak rzeczywistość okazała się dużo bardziej zaskakująca, zarówno w pozytywnym, jak i w negatywnym znaczeniu. Było dużo pytań i niewiele odpowiedzi, ale mieliśmy z Mariuszem siebie i determinację, żeby jechać. Jeśli czujesz, że przeprowadzka to twoje marzenie, moja opowieść powinna dać ci obraz, jak się do niej przygotować, co może cię czekać po drodze i po przybyciu do nowego kraju. Być może dzięki temu łatwiej ci będzie podjąć decyzję o tej zmianie albo stwierdzić: to nie dla mnie. Będziesz jednak decydować na podstawie doświadczeń osób, które już tą drogą szły i wiedzą, co może cię na niej spotkać. Wszystko, czego doświadczyliśmy, wyręło się na nas niczym tatuaż i zostanie z nami do końca życia, więc częścią tych doświadczeń chętnie się podzielimy.

Przygotowanie projektu „Barcelona” zajęło nam dwa lata. Obejmowało między innymi oszczędzanie pieniędzy, naukę języka, sprzedaż domu i oczywiście zwolnienie się z pracy. Kosztowało mnóstwo energii, wywoływało różne emocje, wymagało konsekwencji i planowania. Ale projekt był nasz. Osobisty. Realny i wykonalny (taką mieliśmy nadzieję). Gdybyśmy spojrzeli na ten projekt jak kucharz przygotowujący spersonalizowane danie dnia, moglibyśmy podać jego składniki:

- szczypta odwagi,
- garnek oszczędności,
- łyżeczka cierpliwości,
- chochla szaleństwa,
- łyżka determinacji,
- wazówka¹ wiary w siebie,
- talerz organizacji,
- miska planowania.

Przygotowanie: powyższe składniki należy delikatnie, ale dobrze wymieszać.

Gotowe danie spożywać w gronie najbliższych, popijając *tinto de verano*². Zapraszam do degustacji i do miłego czytania relacji z mojej podróży ku palmom.

¹ Pochodzę z Kujaw, tutaj słowa „wazówka” używa się na co dzień, choć w innych regionach Polski może nie być tak znane. Wazówka to inaczej chochelka, nalewka, nabierka.

² *Tinto de verano* to bardzo popularny drink w Hiszpanii, który przygotowuje się z czerwonego wina oraz napoju gazowanego, np. sprite, i cytryny.

1

Gdzie to wszystko się zaczęło

W czerwcu 2012 roku po raz pierwszy postawiłam stopy na barcelońskiej ziemi. Po wyjściu z samolotu nie całowałam asfaltu lotniska jak ziemi obiecanej, bo nie wiedziałam wówczas, czego się spodziewać po tej wizycie. Nie mogłam też przewidzieć, że jeszcze kiedyś tu wrócę.

Wyjazd ten był o tyle ważny, że po 12 latach związku z Mariuszem pierwszy raz pojechalśmy na zagraniczne wakacje. Nie liczę wyjazdu do pracy w Szkocji podczas studiów, bo to zupełnie inna historia. Ciekawa, ale przeznaczona na inną okazję. Dobrze, że w ogóle pojechalśmy, bo dzień przed wylotem Mariusz strzelił focha i stwierdził, że on nigdzie nie jedzie. Nie uśmiecha mu się siedzieć trzy godziny w samolocie, skoro dobrze mu tu, przed komputerem. Bo ja to zawsze coś wymyślę. Zamiast spędzić urlop w Polsce, zachciało mi się wyjazdu tak daleko.

No cóż, tak, zachciało mi się i się zgodziłeś, ale jak nie chcesz, to nie, pojadę sama. Bez łaski. Jeśli wolisz siedzieć przy komputerze, siedź. Wołał, pewnie że tak, jednak poszedł po rozum do głowy i następnego dnia wylecieliśmy z Bydgoszczy do Girony, a stamtąd autobusem do tarliśmy do dworca autobusowego Estación del Norte w Barcelonie. Na szczęście zdążyliśmy się już pogodzić po wczorajszej awanturze i mogliśmy na spokojnie rozpocząć kilkudniowy urlop. I powiem wprost – było cudownie.

Mój osobisty nerd zobaczył, że poza grami komputerowymi jest inny świat. Realny, słoneczny, z dobrym jedzeniem, plażą i rozrywkami. A ja w końcu byłam w kraju z palmami. Dla nas obojga było to zupełnie nowe doświadczenie i od pierwszego momentu w mieście czuliśmy, że będą to bardzo udane wakacje.

Jak przykładni turyści mieliśmy ze sobą przewodnik po mieście oraz mapę (tak, w 2012 roku jeszcze zwiedzało się z mapą w ręku) i odwiedziliśmy po kolei atrakcje turystyczne Barcelony: park Güell, park Ciutadella, ulicę La Rambla, plażę, zamek Montjuïc. Smakowaliśmy lokalne jedzenie z wielkim apetytem i oczywiście daliśmy się naciągnąć na piwo na La Ramblę za 14 euro (piszę to jako przestrożę, by zawsze pytać o ceny, a nie zamawiać w ciemno). Poszliśmy na flamenco i do klubu Antilla na salsę, której jeszcze wtedy nie tańczyliśmy, ale atmosfera tego klubu okazała się tak magiczna, że trudno nam było usiedzieć na miejscu. Przebieraliśmy nogami i obserwowaliśmy tancerzy wywijających na parkiecie z niesamowitą energią. Największe wrażenie zrobili na nas panowie w wieku 60-70 lat, tańczący z taką werwą, jakby mieli lat 25. Zupełnie się tego nie spodziewaliśmy, bo wcale nie pasowali do znanego nam obrazu seniora z Polski.

Miasto nas totalnie urzekło. Było całkiem inne od miejsc, jakie do tej pory widzieliśmy. Czuło się tu swobodę, radość, wolność. Być może w części przez słońce świecące praktycznie cały czas. Miła odmiana po polskim lecie, które też jest piękne, ale z nieprzewidywalną pogodą.

Pół dnia spędzaliśmy na plaży Mar Bella, popularnej wśród gejów oraz nudystów, choć oficjalnie wówczas jeszcze nie była tak oznaczona. Nikt nas tu nie znał, więc czuliśmy się na tyle swobodnie, by opalać się nago. Smakowaliśmy pyszną kuchnię śródziemnomorską, czego kulminację stanowiła kolacja. Zamówiliśmy ogromny talerz owoców morza i była to prawdziwa uczta dla naszych podniebień.

Po prostu żyć, nie umierać. Niestety, wszystko, co dobre, szybko się kończy – po czterech dniach trzeba było wracać do domu. I wróciliśmy. Z żalem (oboje!), ale wróciliśmy.

I teraz niespodzianka – ten, co nie chciał jechać, bo komputer, bo daleko, bo mnie nosi, nagle stwierdził, że musimy wrócić do Barcelony, ponieważ nie udało nam się wszystkiego zobaczyć. Faktycznie, wielu atrakcji nie obejrzelśmy, bo zwiedzanie dzieliliśmy z opalaniem się na plaży, której przecież nie mieliśmy na co dzień w Bydgoszczy. W końcu pogoda w Polsce tak nie rozpieszcza i nawet, jak już się nad morze pojedzie, to można z dość dużym prawdopodobieństwem przewidzieć, że przez cały urlop będzie padać. Przynajmniej naszym wypadom nad polskie morze w większości przypadków towarzyszył deszcz. Tu przez cały pobyt było gorąco i słonecznie, więc chcieliśmy złapać trochę opalenizny.

Wynik po pierwszym urlopie – Barcelona vs Mariusz: jeden do zera. Z wakacji zostały nam piękne zdjęcia i chęć na kolejny wyjazd. Właściwie nie tylko to, bo zaczęliśmy też chodzić na lekcje tańca. O dziwo, nie była to salsa, którą z uwielbieniem oglądaliśmy podczas urlopu, ale taniec towarzyski. Gdy teraz o tym myślę, nie miało to za dużo sensu. Może w tamtym czasie nie mogliśmy znaleźć szkoły tańca z salsą? Pomyśl, żeby zacząć tańczyć oczywiście wyszedł od Mariusza. Wiesz czemu? To dzięki tym starszym panom, wywijającym aż miło na parkiecie z dużo młodszymi od siebie partnerkami. Mariusz, jak to tylko zobaczył, powiedział mi, że on też chce być takim starszym panem, mimo że dotychczas bardzo mało tańczył. Widzisz tę przemianę? Ktoś mi podmienił faceta?

Dla mnie taka czy inna motywacja nie miała znaczenia, ważne, że mogłam tańczyć. Jako nastolatka uczyłam się tańczyć od brata. Tańczyliśmy głównie rock-and-rolla i taniec użytkowy na dyskotekach. Większość chłopaków wtedy podpierała ściany, a ja dumnie wywijalam na parkiecie z bratem i sprawiało mi to mnóstwo radości. W podstawówce tańczyłam też w szkolnej formacji tanecznej na różnych lokalnych (czytaj: wiejskich) imprezach. Zawsze w pierwszym rzędzie, więc chyba nieźle mi szło. A może byłam w pierwszym rzędzie ze względu na niski wzrost? Cóż, mniejsza z tym.

Trochę zapomniałam, ile przyjemności sprawia mi taniec, a teraz pojawiła się niepowtarzalna okazja, żeby sobie to przypomnieć. Na nowo zaczęłam odkrywać radość z tańczenia, tym większą, że mogłam dzielić to doświadczenie z partnerem życiowym.

Lekcje tańca towarzyskiego pobieraliśmy przez kilka miesięcy, jednak oboje czuliśmy, że nie jest to do końca styl, w którym chcielibyśmy się szkolić długoterminowo. Przypuszczam, że miała na to wpływ forma zajęć, ponieważ uczyliśmy się jednocześnie kilku rodzajów tańca. W efekcie żadnego nie umieliśmy tańczyć bardzo dobrze. I jakoś żaden nas nie zauroczył. Postanowiliśmy więc poszukać miejsca, gdzie uczą salsy. Finalnie trafiliśmy do szkoły tańca Adelante na lekcje salsy liniowej. To był piękny początek przygody z tańcami latino, która trwa do dziś, choć już w innym kraju.

Kolejny rok upłynął nam pod znakiem pracy, tańczenia salsy i kupna domu na kredyt. Jednym słowem coraz głębiej zapuszczaliśmy korzenie w Polsce, ale ponieważ rok temu obiecaliśmy sobie jeszcze raz pojechać do Barcelony, we wrześniu 2013 roku znowu wybraliśmy się tam na wakacje. Tym razem obyło się bez awantury dzień przed.

Uzbrojeni w buty do tańca, kilka figur salsy i bachaty, której w tym czasie też zaczęliśmy się uczyć, przyjechaliliśmy odpocząć i wygrzać się w śródziemnomorskim słońcu. Do południa opalaliśmy się na plaży, po południu zwiedzaliśmy miasto, a w nocy chodziliśmy trochę potańczyć, aby nacieszyć oczy umiejętnościami lokalnych tancerzy. Taka wakacyjna rutyna, znana każdemu aktywnemu wakacjowiczowi. A jednak to właśnie tu, w tym roku, w tym mieście wydarzyło się coś niespodziewanego, co zakiełkowało w nas i rosło, rosło, aż pewnego jesiennego dnia zaowocowało. Ale po kolei.

2

Ławka na Poblenou

– Kochanie, a może byśmy tak przeprowadzili się do Barcelony?

To bardziej pytanie niż stwierdzenie padło z ust Mariusza, gdy usiedliśmy na ławce w dzielnicy Poblenou, wracając z plaży Mar Bella latem 2013 roku. Pierwsza moja reakcja to było coś w stylu:

– Chyba cię totalnie pogrzało.

Mimo że była to nasza druga wyprawa do Barcelony i ewidentnie oboje zakochaliśmy się w tym mieście, pomysł przeprowadzki z Bydgoszczy wydał mi się totalnie oderwany od rzeczywistości. Przecież dopiero co kupiliśmy dom, mieliśmy dobrą pracę i w ogóle nasze życie było w Polsce. No dobrze, zaczęliśmy tańczyć salsę i bachatę, ale bez przesady. Nie musimy od razu rzucać wszystkiego, żeby tańczyć w Barcelonie. W Bydgoszczy też da się to robić, nie mówiąc już o Warszawie czy Gdańsku, dokąd można w ostateczności dojechać samochodem albo pociągiem. Potraktowałam więc to pytanie po macoszemu i natychmiast odpowiedziałam:

– Może kiedyś tak, przeprowadzimy się. Może kiedyś. Może. A może nigdy.

Ile to razy w życiu różne pomysły wydają się niezwykle ciekawe, gdy o nich myślimy po raz pierwszy, znikają jednak równie szybko, jak się pojawiają. Wizja zrobienia czegoś szalonego, odważnego niejednokrotnie nas kusi, ale na drugiej szali jest nasza strefa komfortu,

codzienność, przyzwyczajenia, tradycje i znajomy świat. I zwyczajnie nie chce nam się podejmować wysiłku. Mnie też się nie chciało. Nie będę czarować, że zapaliłam się do pomysłu Mariusza. Nic bardziej mylnego. Zwyczajnie o tym pomysle zapomniałam. Przynajmniej na jakiś czas.

Oczywiście nie wszystko mi się w Polsce podobało, jednak nie na tyle, by od razu planować wyjazd. Na niektóre rzeczy nie miałam wpływu zupełnie, na przykład na zmienną pogodę. Przeprowadzając się do domu, marzyłam, że będę dużo czasu spędzać na działce, na świeżym powietrzu, czego brakowało mi bardzo w naszym poprzednim mieszkaniu, w którym nie mieliśmy nawet balkonu (trudno o balkon, jak mieszka się w suterenie).

I oczywiście częściowo to marzenie się spełniło, jednak okazało się, że w weekendy często pada deszcz, a latem jest albo zimno i pochmurno, albo bardzo upalnie. Tak czy siak lepiej nosa z domu nie wychylać. Muszę jednak przyznać, że początkowo sporo radości dawało mi sadzenie i pielęgnowanie roślin w ogródku – małym, lecz zupełnie wystarczającym na nasze potrzeby. Bawiłam się w ogrodnika, sadząc iglaki, budując własnoręcznie pergolę dla bluszczu czy zwyczajnie ściągając trawę. Od kiedy tylko pamiętam, to mnie relaksowało. W liceum, pracując w ogrodzie, zarabiałam na życie.

Mimo wszystko byłam coraz bardziej zmęczona aktualną pracą, poziomem odpowiedzialności i stresem. Być może po prostu potrzebowałam odmiany w życiu zawodowym, bo po kilkunastu latach w jednej firmie można czuć się wypalonym. Codzienne frustracje spowodowały, że rozważałam zmianę pracy na inną, jednak z tego powodu nie trzeba od razu wyjeżdżać z kraju, prawda?

Ponadto jakoś tak się stało, że z miesiąca na miesiąc przybywało nam powodów do narzekania. Niby mieliśmy dom z ogródkiem, ale z powodu zmiennej i kapryśnej pogody nie dało się z tego ogródka za dużo korzystać, a pielęgnować trzeba było, by nie zarósł chwastami (widzisz, jak początkowa przyjemność zamieniła się w obowiązek?).

Niby mieliśmy grono bliskich znajomych, jednak większość z nich miała już dzieci, więc trudno było o częste spotkania, co w zupełności zresztą rozumiem.

Niby korzystaliśmy z życia kulturalnego, ale wybór spektakli nie był duży, a teatry z największym repertuarem znajdowały się w Warszawie, Gdańsku czy Poznaniu. Żeby się tam dostać, trzeba by przesiadzieć w samochodzie od dwóch do nawet czterech godzin.

Niby w Bydgoszczy pogoda nie jest tak kapryśna jak na przykład nad polskim morzem czy w Suwałkach, ale usłonecznienie wynosi przeciętnie tylko 4,2 godziny na dobę³, a taki wynik nie powala na kolana. Dla mnie najgorszy do przetrwania zazwyczaj był listopad i zdarzały się takie lata, kiedy miesiąc ten prawie że przespałam, robiąc przerwy na chodzenie do biura. Wielokrotnie było mi trudno wykrzesać energię i chęci, by wyjść z domu, gdy za oknem padał deszcz albo robiło się ciemno już o szesnastej, bo zimą niestety dni są bardzo krótkie.

Niby mieszkaliśmy w kraju silnie się rozwijającym, nowoczesnym i perspektywicznym, a jednak widać było, że scena polityczna w Polsce zaczyna się zmieniać i to w kierunku, który nam osobiście nie odpowiadał. Dotychczas byliśmy dumni z tego, jak szybko i jak mocno Polska się rozwinęła, ale teraz niestety zaczynała dominować polityka konfliktu, braku tolerancji i poszanowania dla praw mniejszości. Zdawaliśmy sobie sprawę, że Polacy mają różne poglądy i nie do końca dba się o prawa kobiet czy środowiska LGBT, ale dotychczas władza przynajmniej nie wzmacniała i nie wspierała tych postaw. Gdy to zaczęło się radykalizować, uznaliśmy, że być może nie jest to kraj, w którym chcemy się zestarzeć.

Jaką mieliśmy alternatywę?

Gdybyśmy nie zaznali uroków Barcelony, przypuszczam, że zaczęlibyśmy rozważać przeprowadzkę do Londynu. W Wielkiej Brytanii, konkretnie w Szkocji, pracowaliśmy już w trakcie studiów i wiedzieliśmy,

³ Dane za Wikipedią: pl.wikipedia.org/wiki/Klimat_w_Bydgoszczy [29.09.2023].